

Jan Wiesław Krasnodębski

AW II/3617

Sofar

Pobóg Odmienny

Jest to odtworzenie zapisu pamięciowego małego, cztero-, sześciolatniego chłopca. Obrazy, które przed laty wryły się w miękką glinę jego pamięci i tak zaschły, może odbiegają w szczegółach od prawdy „obiektywnej”, ale właśnie ów relief pamięci, po ponad pięćdziesięciu latach, będzie odtwarzał ten, który chłopcem już dawno nie jest. *Dużo nawaliło się warstw geologicznych życia, by można ich dwóch scalić w jedno. Dlatego piszę o chłopcu w trzeciej osobie, choć noszę w sobie zaschły relief pamięci tamtego małego człowieczka.

Zacznij więc mały człowieczku wywoływać cienie ludzi, czasu i miejsc, które geograficznie nadal istnieją, ale są zawieszane w innej siatce współrzędnych czasu. Miejsce urodzenia chłopca, to miasteczko N.* , na wschodnim Podlasiu. To wyspa etnicznie polska, otoczona wokół żywiołem prawosławnym, jak niektórzy mówią – białoruskim, lub jak inni jeszcze tuziemcy ostatnio odkryli – Rusińskim (ukraińskim?). N. zasiedlają Polacy – robotnicy tartaczni i kolejjarze. I, jak wszędzie na Wschodzie, jest to jednocześnie żydowski sztetl, ze swoimi bogaczami, jak właściciel kaflarni Goldfeder i paroma innymi, oraz mrowiem biedoty, z reguły handlarzy koszyczkowych. Ci, których z mroku niepamięci przywołuję, byli umiejscowieni w ich społeczności gdzieś pośrodku.

Do 193⁹ r. życie w N. toczy się spokojnie, jak w tysiącach innych prowincjonalnych polsko-żydowskich miasteczkach i osadach. Chłopiec zapamiętał opowiadanie dorosłych o wielkiej tragedii sercowej fryzjera Herszla (?), który w 1938 r. po zdradzie Ryfki, położył głowę na kolejowej szynie – z wiadomym skutkiem. O jakiejś szabli oficerskiej zakleszczonej w pochwie szmatami, której na paradzie wojskowej właściciel nie może wyszarpnąć na „prezentuj broń”. Wątle strzępki dowcipów w stylu: „wypiał się i spodnie też pękły”.

Ojciec chłopca – to potomek schłopiałej szlachty podlaskiej, „ucieknięty” z gospodarstwa do rzemiosła. Dzięki pracy w tartaku, a potem wyuczenia się krawiectwa oraz dzięki niewątpliwej, wrodzonej umiejętności zdobywania życzliwości ludzi, a zatem i klientów, osiągnął zupełnie przyzwoity, jak na tamte warunki, standard życiowy. Matka – córka Nadbużańskich chłopów, wcześniej, bo w drugim roku życia osierocona przez ojca, a przez matkę, która powtórnie wyszła za mąż, oddana na wychowanie babce – miała charakter zdecydowany i impulsywny. Chłopca kochała, lecz nie rozpieszczała, zwłaszcza po urodzeniu córki, kiedy to chłopiec został nagle odstawiony od serca i uwagi rodzicielskiej. Z epoki swego królestwa pamięta pośrednio, poprzez pamięć swoich bliskich, scenkę następującą. Między opłotkami biegnie na krótkich nóżkach dwulatek, trzymając w garści ukradzione z szuflady krawieckiego stołu pieniądze (papierowe, sic!), by w sklepiku z drugiej strony domu kontynuować psucie zębów cukierkami. Nagle zaczyna gniewnie ryczeć, bo dogania go pies – wilczur, który jeszcze niedawno pilnował, by królewicz nie wypadł z wózka (istnieje fotografia to potwierdzająca). Pies przewraca berbecia i nie pozwala mu powstać, a jednocześnie głośnym szczekaniem zawiadamia dorosłych o kolejnym przestępstwie.

Koniec tego chłopięcego, sielskiego świata zasygnalizowały duże czarne krople, lecące z pięknego bezchmurnego nieba. Przestraszyły one bawiącego się trzylatka tak, że w panice położył się na polu w brudzie między kartoflami i nie podnosił się, a głowę zasłaniał bujną nacią. Zamarł z przerażenia, gdy ziemia zaczęła nierytmicznymi drganiem przekazywać wybuchy czarnych kropel – bomb, zrzuconych na transporty z wojskiem na stacji, któregoś tam września 1939 r. A w tym czasie oszalała z przerażenia Matka biegła w kierunku stacji, by szukać dziecka. Następnym relief odbitki

* Miejsce akcji szyfruję umownie jako „N” po to, by mieć pretekst nie odpowiadania na poprawki dotyczące imion czy nawet zdarzeń. Niech tak będzie, jak zapamiętał to chłopiec.

pamięciowej chłopca – to uśmiechnięta, nieogolona twarz żołdaka, dziwnie ubranego w brunatno-szary postrzępiony szynel, w spiczastej, filcowej czapce ze zwisającymi oślimi uszami. Takie czapki, tzw. budionówki nosili żołnierze z wyzwolicielskiej „Dobliestnoj Krasnoj Armii”. W czasie I wojny światowej były to filcowe ochraniacze pruskich pikielhaub. Pozostawione w opuszczonych magazynach, stały się nakryciem sowieckich żołnierzy.

Ten prosty, dobry człowiek, który pozostawił pewnie w domu podobnego „matysza”, kołt tęsknotę przychodząc do domu chłopca, chyba bez specjalnego innego powodu. Przynosił w brudnej kieszeni okruchy żółtego, tzw. rąbanego cukru, nieosiągalnego gdzieindziej, albowiem po paru tygodniach od przyścia Sowietów, nie było nic w miejskich sklepikach. Ich politruk, coś u Ojca poprawiającego w swym szynelu, głosił z uroczystą powagą: „wsio budiet!” – I cukier będzie? „Budiet, idut dwa eszałony /pociągi!”. – A sól będzie? – „Idut tri eszałony”. – E, wąpię?... – „Wąpię toż tri eszałony idu!”. Ojciec, za życia, śmiejąc się nieraz to opowiadał, ale nie wiadomo czy tak było, czy też koloryzował. Wsio wozmożno! /możliwe/.

Zniknął psi anioł stróż chłopca. Jak przekaz rodzinny głosi – zabrano go do służby patrolowej na Bugu, będącym linią demarkacyjną nowego rozbioru Polski, po wspólnym rozpoczęciu we wrześniu 1939 r. II wojny światowej.

Ciekawe, czy i kiedy w rosyjskiej świadomości narodowej zagości znajomość faktu, że 22 czerwca 1941 r. – to data nie początku tej wojny, lecz epizodu pt. „zdrada dotychczasowego sojusznika”.

Z późniejszych opowiadań wiem, że miejscowe lumpy – zachorowały na zwidy w kolorze czerwonym i zaczęły tworzyć nową władzę, sowiecką. Byłoby to żalodne i śmieszne, gdyby nie straszliwe tego skutki, których Polacy doświadczyli już w pierwszej z czterech przerażających zim wojennych, a w miasteczku N. konkretnie 10 lutego 1940 r. W trzaskającym mrozie, jeszcze o ciemnym poranku, sanie zaczęły zwozić wyrwane ze snu i zabrane w trybie natychmiastowym polskie rodziny „pomieszczików”: urzędników, sklepikarzy, leśników, bogatszych chłopów, rodziny wojskowych. Już nie wydawali się śmieszni ci strażnicy z długimi, różniastymi karabinami i w tych dziwacznych, spiczastych czapkach. Oficerowie dla odmiany mieli na czapkach wesolutkie w odcieniu, malinowe otoki – kolor NKWD.

Polskie rodziny umieszczono w długich eszałonach, wagonach o pieśczośliwej nazwie „ciepluszka”, co oznacza wagon do przewozu bydła. Od tych nielicznych, którzy po latach wrócili z Archangielska, dowiedzieliśmy się o wyrzucaniu na postojach trupków zamrażniętych rówieśników chłopca. Dorosłych także.

Wszystko to obecnie jest już znane, ale wtedy – gdy Matka i Ojciec zobaczyli napełnianie tych wagonów ludźmi o często znanych im twarzach, gdy od lubiącego Ojca pijaczka z rewkomu dowiedzieli się, że są umieszczeni na liście następnej, planowanej na kwiecień wywózki – decyzję podjęto i zrealizowano natychmiast.

Chłopca zawinięto w pierzynę i na saneczkach zawieziono do lasu, gdzie czekał już z konnymi saniami uczeń Ojca, Paweł K. z Mielnika, dokąd też wyruszone, do mieszkającej tam babki chłopca. Po drugiej niemieckiej stronie Bugu, w Zabuzu, też byli krewni – wuj jego Matki. Po trzech nocach oczekiwania na okazję, po spiciu bimbrem patrolu strażników, przedostali się w 5 osób, przez zamrażnięty Bug na drugą stronę. Nie obyło się bez przygód. Wujek Stasiek zapadł się w oparzelisko i zmoczył ubranie do pasa. W dodatku patrol nie dopity skutecznie, zaczął strzelać do nich, znajdujących się już na niemieckim brzegu. Ale na szczęście bimber był mocny, więc niecelnie. Po parodniowym pobycie w Zabuzu wyjechało do Warszawy, też do krewnych, mieszkających przy Elektoralnej. Tam, we wrześniu 1940 r. dokonał się akt detronizacji chłopca. W momencie zabawy na

podwórku usłyszał wiadomość, że jakiś bocian przyniósł mu siostrę. Grozę tego faktu zrozumiał bardzo szybko, gdy zaczął być rekwizytem niecierpliwie przeganianym, jeżeli przeszkadzał przy przewijaniu, kąpieli itp. Brzmi to śmiesznie, ale dla małego człowieczka to nagłe odsunięcie i uczuciowe porzucenie przez rodziców było katastrofą i zaciążyło na jego życiu aż do życia dorosłego.

Dorośli, nie śmieście się z tragedii małych ludzików! Są to w ich uczuciowej skali tragedie na miarę Hamleta. Normalny, choć rozpieszczony chłopiec stał się milczkiem, ponurakiem o nadmiernym wewnętrznym przeżywaniu, z wyolbrzymioną wyobraźnią. Dopiero na studiach, nadal jeszcze chłopiec, zaczął odkrywać w sobie umiejętności łatwego nawiązywania kontaktów międzyludzkich, zdolności przekazane mu genetycznie przez Ojca.

Ulica Elekoralna znalazła się w obszarze organizowanego Getta i Ojciec chłopca, po niełatwych i długich poszukiwaniach, wynajął mieszkanie na ul. Piusa XI (obecnie Piękna). Po zapłaceniu niemałego, tzw. odstępnego, zamieszkało w dwu pokojach, obok rodziny o rzadkim nazwisku Kowalscy. Pamięć chłopca zachowała z tego okresu fragmenty obrazków – zabawy z dziećmi w Parku Ujazdowskim, gdzie Matka wychodziła na spacer z wózkiem o wrogiej mu zawartości; zmoczone majtki u Sióstr na Wilczej; Szwajcarską Dolinę i chyba ślizgawkę, ale pewności nie ma. Zabawy z chłopcami, baty, jakie od nich obrywał, wzmagaly jego dziką inność, modelowały to, co było tamtym chłopcem. Razy, jakie wtedy dostawał, były dobrym przyczynkiem do doskonalenia obrony, a – w porwach rozpacz – nawet do aktów agresji. Już niedługo miało mu się to bardzo przydać. A na razie, nie wiedząc jeszcze dlaczego, z wypiekami podglądał sąsiadki – siostry Kowalskie (chyba cztery). Kawalerowie sióstr, z reguły w modnych wówczas butach oficerskich i wszechobecnym szmuglerstwem.

Uważam, że powinien być otwarty przewód doktorski na temat „Rola szmugłu (żywności) w obronie sił żywotnych narodu w czasie okupacji”. Jakże kosze kielbas i rąbanki (starsi wiedzą co to jest) przewinęły się przez mieszkanie na Piusa XI. A przecież najdelikatniejszą formą niezadowolenia żandarma, który by to znalazł, byłoby oprócz konfiskaty dzielenie kolbą przez łeb. Niejeden szmugler powędrował przez komin krematorium Oświęcimia. A pamiętajmy, że był on zbudowany początkowo dla Polaków, a dopiero po stwierdzeniu jego „wysokiej sprawności i przydatności” użyto go, po rozbudowaniu Brzezinki, do „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”.

Na ulicach coraz częściej zjawiskiem stały się łapanki i wywózka w najlepszym razie na roboty do Niemiec, a w normalnym trybie na Pawiak, a stamtąd do Palmir lub Auschwitz.

Wybuch wojny między dotychczasowymi sojusznikami – 22 czerwca 1941 r. zastał czteroosobową rodzinę chłopca na lotnisku w Sokołowie. Po powrocie do Warszawy narastała u jego rodziców, a szczególnie u Matki, chęć powrotu do opuszczonego domu w N. Nie bez wpływu na to było poczucie narastającego zagrożenia na skutek eskalacji represji okupanta. Ale Ojciec rozsmakował się w tym, co niesie ze sobą barwne życie wielkiego miasta, nawet w warunkach okupacji, i z mieszkania nie chciał rezygnować, tym bardziej, że będąc człowiekiem ze „smyką” do handlu, nieźle sobie radził.

Ale powróćmy do jesieni 1941 r. Wojska niemieckie pognały Sowietów daleko w głąb Rosji, a na Bugu znowu utworzono granicę wewnętrzną między General Gouvernement a Ostland, ze stolicą w Białymstoku (a może Królewcu?).

I znowu po kryjomu rodzina chłopca jechała do krewniaków nad Bugiem. I nocą, w przepelnionej łódce, przeprawiano się na drugą stronę (też niemiecką). Zachowała się w pamięci chłopca następująca odbitka: noc, łódka jest tak przepelniona, że od brzegu burty do wody są może 2-3 centymetry, a on moczy palce w wodzie. Przez tę rzekę uciekało przed czerwcem 1941 r. dużo Żydów, a pewna nadbrzeżna wioska mocno się na tym wzbogaciła. Według słów Ojca, często później

przekraczającego tę rzekę, niejedyn zasobny Żyd nigdy nie dotarł na drugi brzeg. Ironia losu sprawiała, że większość żydowskich uciekinierów, po stronie sowieckiej wyłapywało NKWD i wysyłało do łagrów Syberii. Ta sama ironia losu dawała im jednak jakąś szansę przeżycia. Dla pozostałych po niemieckiej stronie nie było żadnej.

Ale dość wątków ubocznych. Zbliży się chwila, gdy chłopiec miał zobaczyć osobiście realizację uchwały najwyższego gremium SS i Austriaka Schickelgrubera (pseudonim partyjny Adolf Hitler), podjętej gdzieś daleko w uzdrowisku nad pięknym jeziorem. Było to „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej”. Kwestia żydowska, tak, jak ją zobaczył po powrocie do domu w N., składała się z Mojżesza Dobrzyniewskiego i jego żony Racheli(?), ich dwojga dzieci – pięknego, pierworodnego syna Berka, starszego od chłopca o trzy lata i jego młodszej siostry Mani; z teścia i teściowej Mojżesza – Grossmanów i jakiegoś ich krewniaka Mabego z sześciorgiem drobnych dzieci.

Muszę się nieco wrócić w głąb mego życiorysu i wyjaśnić, dlaczego my i oni „w jednym stali domku” – podlaskim, drewnianym, czteropokojowym, z dwiema kuchniami.

Klepiący biedę Dobrzyniecki miał brata(?) a Ameryce i dostał od niego jakieś pieniądze, które umożliwiły mu zbudowanie tego domu, wcale nie za dużego na to mrowie krewniaków z dziećmi. Założony przez niego sklepik z rodzaju „mydło i powidło” nie mógł uradzić w karmieniu tylu gęb, tym bardziej że w tajemnicy przed Mojżeszem, jego żona podkarmiła swoją dalszą rodzinę. Biedny Mojżesz najpierw wynajął pół domu (dwa pokoje + kuchnia), a potem sprzedał tę połowę rodzicom chłopca. Matka dostała właśnie spłatę swojego rodzinnego działu – 1000 zł, a pozostałe 500 zł Ojciec spłacał ratami 100-złotowymi. Przy płaceniu ostatniej raty nastąpiła ^{ARTIO.} uników Dobrzyniewskiego przed spisaniem aktu notarialnego. A ponieważ sklep dawno już splajtował, wyjeżdżał on do pracy w Białymstoku, kryjąc się przed Ojcem. Historia ta ugruntowała pogląd Matki na temat uczciwości handlowej i ludzkiej Żydów. Trwało to aż do mobilizacji Ojca w marcu 1939 r. i chyba nie zostało załatwione do końca. Ojciec nie podzielał surowości poglądów Matki na temat Żydów i będąc z usposobieniem człowiekiem dobrym i życzliwym, lubił Mojżesza. I obaj, jak to chłopiec dobrze pamięta, nazywali się szwagrami. Owe „Nu, Szwagier, co u Ciebie słychać?” – do dziś dawny chłopiec słyszy w swojej pamięci.

Bez tej wzajemnej sympatii, myślę, że niemożliwe by było to, co nastąpiło dalej. Sądzę, że Mojżesz nie był człowiekiem nieuczciwym. Jego postępowanie wymusiła psychoza biedy i etos handlowy, który w tamtej konwencji polegał w dużej mierze na podejściu i oskubaniu współpartnera.

Po powrocie z Warszawy pamięć chłopca nie odnotowała w każdym razie niechęci czy wrogości. Zresztą chłopiec wrócił nie ten sam. Przyjechał jako „Warszawiak”, a mało kto teraz wie, że kiedyś słowo to oznaczało człowieka zaradnego, sprytnego, jednym słowem – cwaniaka. Pięcioletni cwaniak – Warszawiak przystąpił do akcji odwetowej na podwórku, wspólnym dla obu rodzin. Zaczął od zemsty i represji nad gąsiorem sadystą, który kiedyś tak Nielitościwie szczypał łydki i pośladki chłopca, czasem nawet w przystępie dobrego humoru i chęci popisania się wobec swego gęsięgo haremu, tłukł chłopca ogłuszająco skrzydłami. Teraz o wiele cięższy i większy chłopiec, za poradą kogoś starszego, łapał i ścisnął dziób gąsiora, ciągnąc go z całych sił do tyłu tak, by można było go nawet nieco potem obracać wokół siebie, pomimo jego rozpaczliwej obrony. Doszło do tego, że teraz chłopiec czatował na gąsiora, a on z wrzaskiem uciekał przed nim. Równocześnie chłopiec rozpoczął akcję odwetową wobec Berka, syna Mojżesza Dobrzyniewskiego. Wpadł on jako niemowlę z wózka na głowę i w rezultacie tego, przy normalnym rozwoju fizycznym, psychicznie był – delikatnie mówiąc „stuknięty”. Wrzeszczał nieustannie „A cia!... A cia!...” i podskakiwał. I tłukł chłopca Nielitościwie, z zawziętością furiata. Chłopiec bał się go panicznie; ból razów, jakie od niego dostawał, potęgowany był przez strach przed szaleństwem i irracjonalnością tego bicia. Może u Berka odzywała się